

# Byłem w Polsce – 5

12 maja 2018

Dla mojej Żony Starówka miała bardzo osobistą wagę, bo właśnie tu Jej ojciec brał udział w Powstaniu Warszawskim. Właśnie tu – niedaleko Mennicy, gdzie parkowaliśmy teraz nasz samochód – został ranny, a potem kanałami przechodził do Śródmieścia.

I właśnie z tym wiąże się sprawa znalezionych przeze mnie papierów, o których wspomniałem trochę wcześniej przy opisie porządkowania domu.

Stara teczka związana sznurkami leżała na strychu w kufrze przywalona starymi rzeczami. Wziąłem ją na dół i zostawiając wszystko inne, zabrałem się do czytania, ale po małej chwili odłożyłem, tak jak odkłada się coś dobrego na właściwą chwilę.

Następnego dnia wstałem przed czwartą. Jakoś nie mogłem spać. W głowie kłębiły mi się jakieś wojenne obrazy, walące się domy, a nawet wydawało mi się, że czuję kurz, zapach spalenizny i słyszę bombardowanie.

Do świtu była jeszcze cała wieczność. Za oknem bezgwiezdna, czarna grudniowa noc. Zrobiłem sobie kawę i bez pośpiechu wziąłem te stare papiery do ręki.

Poskładane były w teczce – niby porządnie – ale wyglądało na to, że ktoś się z tym śpieszył, czytał naprędce, zaginał kartki i, czytając, wracał do wcześniejszych. To było widać z pomieszanych dat. Zacząłem je układać chronologicznie.

Lubię stare papiery, które odkrywają jakieś dawno zapomniane historie. Z całą pewnością wzięło się to z moich genealogicznych zainteresowań. Lubię stare dokumenty, ale to, co trzymałem w ręku, nie miało tej szacownej patyny starości, laku pieczęci i miłej faktury dawnych aktów. To były szare, bibułkowate przebitki, na których urzędowe teksty pisane były na jakichś wysłużonych maszynach, czasem ledwo czytelne,

opatrzone rozmazanymi, rozlanymi pieczętkami urzędów. Nieczytelne podpisy były oszczędne, czasem z poprzedzającym je stopniem wojskowym. Czasem zamiast podpisu była imienna pieczętka jakiegoś majora K. czy porucznika L.

Dwa dokumenty pisane były po angielsku i opatrzone dość wyraźnym stemplem Żandarmerii Polowej Brytyjskiej Strefy Okupacyjnej z siedzibą w Bad Oeynhausen. Te pisma były wyraźne, na lepszym papierze i z wyraźnymi podpisami.

Zupełnie osobno, owinięty dodatkowym sznurkiem leżał szkolny zeszyt w kratkę zapisany dość wyraźnym, ale bardzo drobnym pismem. Wyglądało na to, że piszący chciał maksymalnie wykorzystać miejsce. Ten zeszyt był czymś w rodzaju pamiętnika, ale pisanego dość oficjalnym tonem – takim mniej więcej jak się pisało życiorysy dla urzędów czy miejsc pracy.

Czytałem z narastającym zainteresowaniem.

„Powstanie”, „walczył”, „meldunki”, „Armia Krajowa”, wezwania, opinie, „niepewny”, „postanowił w trybie doraźnym” itd., itp.

Takie i inne sformułowania patrzyły na mnie z tych papierzysków surowym okiem młodej władzy ludowej i jej organów bezpieczeństwa.

Ich szarość i zwyczajność, kiepski papier, na którym je napisano miało w sobie coś groźnego. Groźnego i tchnącego beznamiętnym okrucieństwem urzędów bezpieczeństwa publicznego i krwawą nagonką na żołnierzy Armii Krajowej.

Potem czytałem o ucieczce – gdzieś w ładowni handlowego statku – zatrzymaniu w Lubece, uwięzieniu w brytyjskiej strefie okupacyjnej... powrocie do Kraju i wreszcie walce o normalne życie.

Były tam też dwa małe pudełeczka z odznaczeniami. Medalem za Warszawę i Warszawskim Krzyżem Powstańczym.

Nie miałem wątpliwości, że mam przed sobą wspaniały materiał

do opracowania i może nawet publikacji, ale było coś jeszcze...

Otóż siedząc w tę bezgwiezdną, grudniową noc i czytając dawne dokumenty, jakoś bardzo wyraźnie poczułem, że jestem w Polsce! Poczułem, że ta dawna wojenno-warszawska historia dotknęła zapomnianego nerwu. Polskiego nerwu! Czułem ją i rozumiałem. A przecież nigdy na żadnej wojnie nie byłem! Urodziłem się przecież parę lat po niej, a jednak wszystko to było ogromnie bliskie mojemu sercu i rozumieniu historii Kraju.

W tę bezgwiezdną, grudniową noc bardziej niż kiedykolwiek poczułem się Polakiem.

Poczułem, że jestem w Polsce!

Z Rynku Starego Miasta poszliśmy na Wały, na których ustawiły się szeregi straganów z najróżniejszymi wiktuałami, pamiątkami, słodyczami, ubraniami i nieprzeliczonymi towarami świątecznymi. Wszędzie królowało grzane wino i piwo, bo ziąb był nieopisany. Prawie wszystkie dziewczyny miały szyje i głowy okutane ogromnymi szalami. To było ładne, ale bywało, że wielkość szala nie pasowała do postury dziewczyny i całość wyglądała trochę nieproporcjonalnie.

Aha, i jeszcze jedno! Nagle zobaczyliśmy grubego jak beczka amerykańskiego Santa Klause w czerwonym kubraku, z czapką ze zwisającym pomponem! Santa Klaus? Tutaj? A gdzie nasz kochany święty Mikołaj z infułą i pastorałem? Gdzież on się podział?

Już chciałem coś głośno powiedzieć, ale Krysia uspokoiła moje protesty, mówiąc:

– Siedź cicho, nie wygłupiaj się, gościem jesteś...

Szliśmy więc wzdłuż straganów. Krysia kupiła dla naszej wnuczki wielki lizak w kształcie jej ukochanej Peppa Pig, a mnie znowu coś dźgnęło pod sercem, że co tu ta sympatyczna, angielska świnka robi? A gdzie się podział chociażby nasz kochany Koszałek Opałek?

Po drugiej stronie Podwała, tuż koło słynnych ruchomych schodów trasy W-Z, zobaczyłem piękny, szklany budynek. Czytałem kiedyś o nim. Mnie się podobał, ale słowem się nawet nie odezwałem, bo nauczyłem się trzymać język za zębami i nie uczyć gospodarzy, co ma się im podobać, a co nie.

Ważniejsze dla mnie były schody ruchome, albo powinienem raczej napisać Schody Ruchome, bo przez długie lata to były te pierwsze i te najważniejsze.

Nie mogłem odmówić sobie przyjemności przejechania się nimi w dół i w górę i zatrzymania nad zabytkowym radzieckim pulpitem sterowniczym wystawionym tam na publiczny widok.

Wielka, prymitywna maszyna wyglądała jak przedpotopowy gad wyłaniający się z wykopaliska.

„Wwod. Eskałator N1. Eskałator N2. Eskałator N3”.

Ludzie wchodzili i wychodzili, ale tylko nieliczni zatrzymywali się przy tym dinozaurze.

Podobnie jak przy czytaniu starych papierów opatrzonych rozmazanymi, czerwonymi pieczętkami, tak i teraz poczułem jakiś zimny dreszcz.

I nie dlatego, żeby mi było zimno, bo akurat na to byłem dość odporny. Ostatecznie miałem w kościach trzydzieści parę zim spędzonych na kanadyjskich highwayach.

\* \* \*

W czasie naszego jesiennego pobytu w Polsce (w październiku 2017) moja kuzynka zaprosiła nas na wykład profesora Timothy'ego Snydera na temat „Historia zagłady i przyszłość Europy”.

Wykład miał się odbyć w Muzeum Historii Żydów Polskich na Anielewicza. Nigdy tam wcześniej nie byłem. To znaczy nie na Anielewicza, tylko w Muzeum. Muszę się też przyznać, że nic

nie wiedziałem ani o profesorze, ani o tym co napisał. Tuż przed wykładem przejrzałem parę informacji, ale i tak byłem jak tabaka w rogu. W przeciwieństwie do innych, którzy powoli zbierali się w hallu przed aulą. Miałem się o tym niebawem przekonać.

Muzeum, które używa krótszej nazwy Polin, zajmuje duży teren pomiędzy ulicami Anielewicza, Zamenhofa, Karmelicką i Edelmana. Piękny, przestronny teren, ale i tak zeszło mi trochę czasu na znalezienie miejsca, gdzie mógłbym zaparkować.

Na Edelmana prowadzono roboty drogowe, stała wielka wywrotka i jej kierowca, widząc, że jadę powoli i szukam miejsca, zaczął kiwać ręką. Podjechałem.

– Tu pan sobie zaparkuj – za moim wozem. Możesz pan stać do jutra, bo ja już dzisiaj nigdzie nie jadę!

To mi się podobało. Jednak co trucker, to trucker!

– Też byłem kierowcą – powiedziałem po zaparkowaniu – bardzo dziękuję! To parkuje pan do jutra? – zapytałem.

– Tak, dość już tego – trzeba trochę do domu, do kobity...

– Wiem coś o tym...

– To gdzie jeździsz? – przeszedł bez większych wstępów na „ty”.

– Już nie jeżdżę – emerytura – ale jeździłem w Kanadzie.

– O, w Kanadzie! To nie to co tu... A ile tam można zarobić?

Odwieczne pytanie, na które nie ma właściwej odpowiedzi, bo to tak jakby ktoś pytał, ile kosztuje dom.

– Nie jest źle – odpowiedziałem dyplomatycznie – idzie wyżyć, ale wiesz – łatwo nie jest.

– A pewnie, nigdzie nie jest łatwo, ale mówię ci, że tak źle

jak teraz to chyba jeszcze nie było!

Ileż razy to słyszałem??? I to od najmłodszych lat. W różnych kontekstach. Na przykład pamiętam, jak pewien zaprzyjaźniony z moim ojcem ksiądz prałat mówił do niego:

– Panie Kazimierzu kochany – gorzej już być nie może! Rozpusta, że koniec świata! Mówię panu, że najpierw padnie Francja, a zaraz potem Polska!

Mówił to a propos wyświetlanego wtedy filmu pod tytułem „Paryżanka” z Brigitte Bardot, w którym BB niewinnie pokazywała kawałek – nawiasem mówiąc – bardzo ładnej pupy.

Ale co tam ksiądz prałat i jego „Paryżanka”! O tym, że gorzej już być nie może, słyszymy od zawsze z wielu, wielu ust!

Żeby nie przeciągać rozmowy, a jednocześnie okazać wdzięczność za parkingowe miejsce, zrobiłem współczującą minę, a potem – solidarni w naszym truckerskim losie – podaliśmy sobie ręce, on poszedł do swojej kobiety, a ja na wykład.

Czekając na rozpoczęcie, szybko się zorientowałem, że przybyli – choć bardzo różni wiekiem – dobrze wiedzieli, dlaczego tu są. Znali książki profesora, mieli na jego temat wyrobione zdania – jednym słowem, poczułem się jak analfabeta wśród piśmiennych.

Rozmawiałem z młodym studentem Politechniki Warszawskiej, który, jak się okazało, przyszedł dlatego, że pasjonował się historią polskich Żydów. Znał profesora Snydera, jego publikacje i rozmawiał o nich ze mną swobodnie i ze swadą. Byłem pod wrażeniem. W myślach porównywałem tego odczytanego i tryskającego zainteresowaniami chłopca do siebie w tym samym wieku i to porównanie wypadało – ku mojemu głębokiemu smutkowi – na moją niekorzyść!

Mam wrażenie, że to nie był wyjątek i wielu jego kolegów i koleżanek biło na głowę moje pokolenie w ich wieku. Inny świat

i inna młodzież.

Sam wykład był dość ciekawy, ale poruszana tematyka nigdy nie leżała w kręgu jakichś moich szczególnych zainteresowań. Profesor mówił całkiem dobrze po polsku i poruszał bardzo polskie tematy. To było naprawdę imponujące. Prawie tak jak monumentalne prace Anglika Normana Davisa, który napisał historię Polski chyba lepiej niż ktokolwiek inny.

Ale byli też i inni słuchacze.

Po wykładzie rozmawiałem w małej grupce i nawiązując do Snydera, rzuciłem nazwisko Davisa z pytaniem, jak to możliwe, że cudzoziemiec tak dobrze rozumiał nasze, polskie sprawy. I wtedy jedna z pań rzuciła stanowczo:

– Żona mu napisała! Nie wie pan? Ożenił się z Polką!

– Żona???

– A pewnie, że tak! A jakby mogło być inaczej? Gdyby nie żony, proszę pana, to wszyscy ci profesorowie rowy by kopali!

Aż mnie zatkało! Muszę powiedzieć, że z tak skrajnym feminizmem jeszcze się nie spotkałem!

Wyszliśmy, a że wieczór był dość ładny, poszliśmy na mały spacer. O samochód byłem spokojny, bo stał sobie grzecznie „pod opieką” wielkiej wywrotki.

Ruszyliśmy Anielewicza w kierunku alei Jana Pawła II, którą pamiętałem jako Marchlewskiego, a potem przez Nowolipki, Smoczą i z powrotem.

I właśnie na Nowolipkach przypomniał mi się słynny „cud”, o którym kilkadziesiąt lat wcześniej było głośno nie tylko w Warszawie, ale w całej Polsce. Na kościelnej wieży miała się ukazywać postać Matki Boskiej. Władze kościelne od razu ogłosiły, że wrażenie powodowane jest odbiciem promieni słonecznych i nie ma w tym nic, ale to nic nadzwyczajnego, ale

ludzie puszczali to mimo uszu, napięcie narastało, śpiewano pieśni i podsycano atmosferę.

To była duża sprawa i pamiętam ją świetnie. Zresztą byłem już dorosłym człowiekiem. Były aresztowania, malowanie blach na kościelnej wieży matowymi farbami, żeby zlikwidować odbicie promieni słonecznych, i w ogóle zamieszanie na całe miasto.

Rzecz była znana, ale dla mnie miała jeszcze jeden, trochę bardziej osobisty posmacek, bo byłem jednym z tych, którzy wybrali się na Nowolipki popatrzeć. Jechałem z Mokotowa. Długa droga, w przepełnionych tramwajach, ale co to znaczyło – ciekawość była silniejsza.

Nic nie zobaczyłem, bo akurat jak na złość padało, ale atmosfera panująca wśród oczekujących na cud ludzi była przeżyciem, do którego w późniejszych latach wracałem wiele razy i pamiętam ją do dziś.

## **CIĄG DALSZY NASTĄPI**

Autorstwo: Marcin Baraniecki

Źródło: [Goniec.net](http://Goniec.net)